

Po co nam Polska?

Ość w gardle tego świata Wojciech Wencel

Dlaczego urodziłem się Polakiem? Jak wyglądałoby moje życie, gdybym przyszedł na świat jako Anglik, Francuz albo Rosjanin? Miałbym wysoką pensję czy tradycyjną rodzinę? Pasjonowałyby mnie nowe technologie czy kantaty Jana Sebastiana Bacha? No i czy byłbym agnostykiem czy chrześcijaninem? A może buddystą?

Chyba każdy z nas stawiał sobie kiedyś podobne pytania. Jedni robili to w chwilach trudnych, znajdując oparcie w złudzeniu, że gdzieś tam, za górami, za lasami, byłoby im łatwiej osiągnąć sukces. Przeklinali przypadek, który - ich zdaniem - zdecydował, że urodzili się w kulturze wiecznych marzeń, a nie w maksymalizującej zysk ekonomiczny zachodniej cywilizacji. Inni, a wśród nich ja, robili to w poczuciu wyższości nad mieszkańcami zsekularyzowanego Zachodu i barbarzyńskiego Wschodu. Dziękowali Bogu, że razem z polskością dał im wiarę, bezgraniczne umiłowanie wolności i narodową dumę. Katastrofa smoleńska weryfikuje oba te sposoby myślenia.

Ludzie, którzy chcieliby uczynić z Polski sprawnie funkcjonującą maszynę do bogacenia się, bliźniaczo podobną do niemieckiej czy francuskiej, po 10 kwietnia 2010 roku znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Kolejna polska apokalipsa na nowo odłoniła bowiem wyjątkowość naszej historii i reanimowała zbiorowe myślenie metafizyczne, eschatologiczne czy choćby symboliczne. Smoleńsk zaczął obrastać mitem, w którym czciciele europejskiego porządku dostrzegli zagrożenie dla ich wizji społeczeństwa jako doskonale zorganizowanego mrowiska. Miała być mrówcza praca u podstaw, gwarantująca wygodne i dostatnie życie, a tu nagle spod ziemi wyleciały motyle o kolorowych skrzydłach - dusze naszych poległych, proroków i świętych, odwracające uwagę od "naprawdę ważnych" kwestii gospodarczych. Okazało się, że miliony Polaków wciąż bardziej kochają wolność niż konsumpcję.

Pragmatycy, którzy jak niepodległości skłonni są bronić najwyżej ciepłej wody w kranie, mają teraz dwa wyjścia. Albo spełnią swoją wielokrotnie powtarzaną groźbę emigracji ("Słowo daję, wyjadę z tego chorego kraju!"), albo będą usiłovali wyśmiać "smoleńską mistykę" w imię "zdrowego rozsądku". Takie rozpaczliwe próby skłonienia Polaków do powrotu na karuzelę konsumpcjonizmu trwają dziś niemal we wszystkich mediach, od TVN 24 po "Rzeczpospolitą". Nie zmieniają jednak naszego dziejowego przeznaczenia, które z nową siłą objawiło się w Smoleńsku. Polska nigdy nie stanie się świetnie działającą korporacją. Zawsze będzie inna od społeczeństw zachodnich z ich przekonaniem o końcu historii, niezawodnymi "procedurami", dogmatycznym materializmem i polityczną poprawnością. Może gdzieś na Zachodzie istnieje raj na ziemi. Dla nas przewidziano co innego: brak stabilizacji, tymczasowość, rzadkie sukcesy polityczne i gospodarcze, częstsze porywy ducha, a okresowo traumatyczne doświadczenia, przypominające nam, kim jesteśmy.

A jesteśmy ością w gardle tego świata. Jak pisał na tych łamach prof. Andrzej Nowak: "Potężne siły zła, jakie skupiają się w imperialnej ambicji panowania nad innymi, poniewierania słabszymi, od ponad 300 lat potykają się o Polskę". Nie zbudujemy sojuszy gwarantujących nam pozycję zachodnioeuropejskiego państwa, bo zawsze będziemy przeszkadzać imperiom. Próby ich obłaskawienia nie odwrócą biegu historii. Skończą się groteską, jak prorosyjska polityka rządu Donalda Tuska w momencie ogłoszenia raportu MAK.

"O, dzięki Tobie za państwo boleści,/ I za męczeńskich koron rozmnożenie,/ I za wylaną czarę

szlachetności/ Na lud, któremu imię jest - cierpienie,/ I za otwarcie bram... nieskończoności!" - pisał w 1847 roku Cyprian Kamil Norwid. Czy obraz polskości zmienił się od daty powstania tego wiersza? Przeciwnie: przybyło historycznych faktów, potwierdzających nasz zbiorowy los. Tyle że coraz rzadziej widzimy zbawienny sens tego losu i przestaliśmy za niego dziękować. Często - jako Polacy i jako chrześcijanie - czujemy się zaszczuci przez nieprzyjazny świat. Bronimy spadku po przodkach: katolickiej religii, wewnętrznej wolności, patriotyzmu, ale w głębi duszy obawiamy się, że następnym pokoleniom nie wystarczy sił do udźwignięcia tego ciężaru. Przytłaczają nas kolejne ofiary i upokorzenia. Nasze życie staje się martyrologią.

Dzieje się tak wówczas, kiedy polskość sprowadzamy do stanu posiadania. To prawda, że większość europejskich narodów już dawno rozmieniła swoje talenty na drobne. Ale my zakopaliśmy swój talent w ogrodzie i stawiamy strażę, żeby nikt go nie ukradł. Niby czekamy na dzień ostateczny, lecz w gruncie rzeczy chcielibyśmy, żeby z tego zagrzebanego w ziemi talentu wyrosła nam Wielka Polska Katolicka - państwo stabilne duchowo, wolne od bolesnych doświadczeń, będące azylem w pogańskiej Europie. Ta tęsknota do duchowej "małej stabilizacji" powoduje, że na dnię serca skrywamy żal do świata, a może nawet do samego Boga, że nie pozwala nam spocząć na laurach.

Ale polskość nie jest stanem posiadania. Jest wieczną misją objawioną przez naszych wieszczów. "Duszą narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie" - pisał Adam Mickiewicz w roku 1832. To zdanie, pozornie odnoszące się do Wielkiej Emigracji po upadku Powstania Listopadowego, do dziś jest przejmująco aktualne. Tłumaczy wszystkie nasze dwudziestowieczne walki o niepodległość, okresy niewoli i współczesne trudności w budowaniu tzw. nowoczesnego państwa. Polskość to nie miejsce spoczynku, lecz droga, która prowadzi przez bramy historii ku nieskończoności. Kto chce naprawdę stać się Polakiem, musi być apostołem życia wiecznego. W świecie lękającym się śmierci i bijącym pokłony mamonie musi dawać świadectwo autentycznej wolności, którą przynosi żywa wiara w moc Zbawiciela.

Do czego jest nam potrzebna Polska? Do zbawienia. Do uświęcania siebie i innych zgodnie z nauką Chrystusa objawioną św. s. Faustynie Kowalskiej: "Polskę szczególnie umiłowałem, a jeżeli posłuszna będzie woli Mojej, wywyższę ją w potęgę i świętości". Obawiam się, że słowo "potęga" w tym zdaniu ma niewiele wspólnego z kryteriami tego świata, a i "świętość" należy kojarzyć raczej z umieraniem dla bliźniego niż z bezgrzesznością. Wielka Polska Katolicka pewnie z tego nie powstanie, ale już Polska katolickich apostołów, męczenników i świętych ma szansę się urzeczywistnić. I zasłużyć na wieczną chwałę w Niebie.

Ktoś powie, że w tej mesjańskiej wizji brakuje miejsca dla entuzjastów wygodnego życia według zachodnich standardów. Ale czy wśród biblijnych Izraelitów prowadzonych przez Boga po pustyni nie było ludzi o twardym karku? Gdy tylko Mojżesz zniknął im z pola widzenia, szemrali albo wznosili złotego cielca. Oni również zostali powołani na drogę i gdy tylko mieli pełny żołądek, wlekli się za Mojżeszem.

Nasz przewodnik Jan Paweł II odszedł już do wieczności. Dlatego wielu Polaków straciło wiarę w sens pielgrzymowania. Ale Bóg nie zostawi nas samych, nie da też nam umrzeć z głodu. W odpowiednim czasie zjawi się Ktoś, kto dopełni naszą trudną, ale wspaniałą historię. Jak brzmi druga część Chrystusowego proroctwa z "Dzienniczka" św. s. Faustyny? "Z niej [z Polski] wyjdzie iskra, która przygotowuje świat na ostateczne przyjście Moje". Od tej iskry żywego chrześcijaństwa, wykrzesanej smoleńską tragedią, pora zapalić lampy, które oświetlą nam drogę. Warto też zaopatrzyć się w zapas oliwy, by lampy nie pogasły, zanim nadejdzie Mesjasz.

A jesteśmy ością w gardle tego świata.

środa, 26 stycznia 2011 20:42

Autor jest poetą, członkiem redakcji magazynu "44 / Czerdzieści i Cztery", felietonistą "Gościa Niedzielnego", stałym współpracownikiem dwumiesięcznika "Arcana".